ROZMAITOŚCI.

Dnia 2. Kwietnia. № 14. Roku 1856.

FATALISTA.

(OBRAZEK.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 11. 12. 13. Rozmaitości.)

IV.

PIĘĆ LAT PÓŹNIÉJ.

Wiktor do Zofii.

Przestępca i niewdzięcznik przychodzi czynić ci najszaleńsze wyrzuty! Ja nim jestem Zofio, ja mąż Maryni, chcę ci wyrzucać żeś mi ją dała, żeś taki skarb cnot niewieścich powierzyła mnie, od którego wszelkie szczęście od kolebki ucieka!

Od śmierci babki i wyjazdu twego do Drezna okropne zaszły wypadki w naszém domowém pożyciu; najprzód straty jedna po drugiéj jak gromy w nas biły — ostatni pożar do szczętu nas zniszczył, uszliśmy ledwie z życiem. Marynia wyratowawszy Zygmusia naszego z płonącego już pokoju, z uśmiechem przyjęła grom, który zniszczył nasz byt materyalny, a ja Zofio, czy pojmiesz co czułem! Nie, tego nikt pojąć, nikt ocenić nie może, ten tylko który otoczył się na to drogiemi istotami, aby je zagarnąć z sobą w przepaść nieszczęścia!

Nie będąc w możności trzymania dłużéj Sosnowa, odstąpiłem wszystkiego; przez dwa miesiące mieszkaliśmy tam jeszcze u chłopa na wsi; ja przeleżałem ten czas cały i nie umarłem, patrząc jak Marynia pracowała, jak prała i gotowała sama i nie skarżyła się nigdy, tylko mię jeszcze chciała pocieszać, mię dla którego niema pociechy, na którego niema dość ciężkiéj kary! A kiedy znużona trudami koło mnie i dziecka, chciała się udać do pana Szczepana o jaki zasiłek pieniężny — to się oburzałem jak gdybym rozkosz znajdował w naszém położeniu, bo mi zawsze na pamięci była okropna krzywda wyrządzona sierocie, jaką była i jest Marynia, owo zniknięcie testamentu Babuni! Ale raz kiedy byłem bardziéj cierpiący, Marynia nie pytając mię napisała do Wuja, i z jego jałmużny żyliśmy dotąd. Wyprowadziliśmy się tutaj, gdzie niegdyś straciłem matkę, gdzie mię najsłodsze i najboleśniejsze powitały wspomnienia! Przy troskliwych staraniach Maryni wróciły powoli siły ciała i do tyla

rozwagi umysłowéj, żem wszelkich użył środków, aby wynaleźć jaki sposób utrzymania dla nas trojga; chciałem dostać się gdzie za leśniczego lub ekonoma, ale to się nie powiodło; rzemiosła żadnego nie umiem, a uczyć się teraz kiedy jutro zagraża nędzą — to za późno trochę! Do umysłowéj pracy mógłbym się wziąć wprawdzie, ale czy znajdę pole dla niéj i czy wytrwam! Ta fatalność która mię ściga, zabija nawet we mnie to co natura i praca moja mi dały; dzisiaj nie potrafiłbym uporządkować myśli moich do tyla, aby drugim na co się zdały, aby nas uchroniły od żebrania; spadłem tak nizko jak zwierzę, — tylko jękiem objawiam boleść moją bez zdolności zaradzenia sobie! Nazwij mię nikczemnym próżniakiem Zofio, bo nim jestem; powiedz mi, żem za słaby aby utrzymać moją pracą żonę i dziecko, żem przyczyną ich zguby, a będzie mi lżéj na sercu z tym wyrzutem jak z pociechami Maryni, z jéj wiarą że dla nas jest jeszcze ratunek!

Wymyśliłem jeżeli nie pomoc to karę na siebie, i chcę się przed tobą pochwalić z moim planem. Jadę do pana Szczepana i będę go prosił, aby mi dał jakie zatrudnienie u siebie. Czy rozumiesz to Zofio? Codzień będę widział tego człowieka, którym się brzydzę; — będę go słuchał, bo on będzie panem a ja sługą; będę wykonywał rozkazy brudnego skąpca i zdziercy, ochraniał jego mienie, poświęcał życie, aby jemu na niczém nie zbywało! Ale zato Marynia i Zygmuś ocaleją i powiem sobie: chléb który jedzą to moja praca, to nie jałmużna! Marynia nie będzie już sama najcięższych podejmować robot jak dotąd!

Nie bierz mi za złe Zofio, że piérwszy raz dopiéro piszę do ciebie od czasu naszych nieszczęść! Wiedziałem że tylko sercem dzielić je możesz; ów procent który pan Szczepan ci przyznał, ledwie dla ciebie jednéj jest dostateczny. Nie przyjeżdżaj także do kraju, zaklinam cię. Współczucie mogłoby cię nakłonić do tego kroku, ale rozsądek niech cię wstrzyma. My na teraz wyrwiemy się z nędzy, a przyszłość zostawmy Bogu, o którego wszechmocności ten tylko wątpić może, kto nie uczuł jego ręki!

Bywaj zdrowa i spokojna o nas i przebacz mi jeżeli możesz, — wszak Marynia z uśmiechem przebacza mi nieszczęście całego swego życia!

Wiktor.

V.

Są chwile i miejsca tak zgodne z usposobieniem duszy człowieka, że gdy się zetkną, tworzą jakoby harmonią doskonałą w naturze. Najczęściéj wydarza się to, gdy serce przepełnione boleścią szuka dla swéj niedoli równowagi w świecie zewnętrznym, i jeżeli się nie pokrzepi, to przynajmniéj ukołysze na chwilę tą biedą padającą na ziemię naszą z niebiosów.

W takiém usposobieniu był Wiktor, jadący parą chłopskich koni i zabłoconym wozem z kałuży w kałużę jedną z pobocznych dróg galicyjskich. Drobny przenikliwy dészczyk jesienny bił mu w oczy, a on zdawał się nie czuć wilgotnego zimna i poddawał się koły-

saniu wozu z niemocą śpiącego człowieka! Ale nagle ocknął się. Konie stanęły, a wóz na bok zaczął się chylić. Wiktor wyskoczył.

— Cóż tam?

— A do wszystkich dyabłów, oś się złamała. I wieśniak zaczął się skrobać w głowę i narzekać.

— Za byle co się człowiek najmie; użyje zimna co nie miara i jeszcze bieda chciała z tą osią; musimy stać teraz i gdzie we wsi wozu szukać.

W tém nawinął się jakiś chłopek.

— A daleko do dworu? spytał Wiktor.

— Bliziuteńko panie; tylko przez ten lasek — piechotą na ścieżki zajdzie za pacierz.

— To ja już pójdę piechotą, a ty radź jak umiesz i przyjedź za mną.

Wiktor szedł jakiś czas gęstwiną, serce mu coraz gwałtowniéj biło, sto razy chciał się wrócić i znowu szedł daléj. W pośród rudniejących drzew postrzegł na wzgórzu wielki murowany dom na piętro. otoczony białemi obszernemi budynkami. Z lasku wyszedłszy znalazł się na szerokiéj drodze, która z dwóch stron opatrzona rowami, prowadziła wprost do zamkniętéj z lanego żelaza bramy dziedzińca. Przez kratę tejże zobaczył Wiktor dwa ogromne brytany przechadzające się po dziedzińcu i rzuciwszy okiem na wytartą i zabłoconą odzież swoją, nie śmiał iść daléj, bo wiedział że psy jak ludzie niektórzy, obdartych najbardziéj lubią obdzierać. Po chwili zobaczył wybiegającego kuchcika z oficyn i zawołał na niego; zapytał czy pan jest w domu, i prosił aby go do niego zaprowadził. Kuchcik wahał się, pokręcał głową, ale Wiktora walka, jaką staczał z samym sobą, dziwną natchnęła energią, i zawołał z gniewem prawie:

— Cóż to, czy mię masz za żebraka, że się tak namyślasz?

— Nie, ale bo proszę pana....

— Daléj, daléj, nie mów wiele, tylko otwórz bramę i prowadź mię do twego pana.

Na dziedzińcu i we dworze wzorowy panował porządek i wszędzie świecił się dostatek, począwszy od psiéj budy ozdobnéj aż do pańskiego pokoju. — Kuchcik podprowadził Wiktora pod ganek i uciekł. Wiktor wszedł do sieni i otworzył piérwsze drzwi, z których go gwar głośnéj rozmowy dochodził. Wypadł na niego strzelec w liberyi i zapytał:

— Co Wacpan chcesz tutaj?

— Nie jestem Wacpan błaźnie, i chcę mówić z twoim panem nie z tobą.

— A przepraszam, kogóż mam meldować?

— Nie melduj, tylko mię prowadź.

— Ho, ho, to nie tak łatwo; pan przy śniadaniu i nie przyjmuje wszystkich. — Może pan Dobrodziéj wsparcia żąda; — dodał szydersko.

Wiktor zgrzytnął zębami i zacisnął ręce chcąc się wstrzymać, aby strzelca nie wziął za galonowy kołnierz, bo czuł że scena podobna zły mu wstęp zjedna.

— Powiedz zresztą twemu panu, że jego bliski krewny chce się z nim widzieć na chwilę, i żadnego wsparcia nie potrzebuje.

Strzelec zniknął, po dobrym kwadransie ukazał się znowu i wpuścił Wiktora

do przedpokoju mówiąc: Mój pan prosi, aby tu się zatrzymać, zaraz wyjdzie i rozmówi się. — Gdy tylko strzelec się oddalił, Wiktor nie czekając bynajmniéj wszedł przez otwarte drzwi do salonu, a z tego do trzeciego pokoju. W tym, przed suto zastawionym stołem siedział w szlafroku znajomy nam pan Szczepan. Naprzeciw niego na kominie rzęsisty palił się ogień, obok kominka wygodna stała sofka, a przy niéj niedopalona fajka na długim cybuchu, którą pan Szczepan dopiéro co porzucił i postanowił przekąsić cokolwiek aby nabrać sił nowych do palenia tureckiego tytoniu i leżenia na sofie. Właśnie, powąchawszy trzy flaszki z likierem, był sobie z jednéj nalał kieliszek, i wypiwszy go jedném połknięciem powiedział do siebie: Wyśmienita, waniliowa! — kiedy wszedł Wiktor. Podniósł na niego wzrok pan Szczepan, zmarszczył brwi i mruknął: Głupiec. Potém przekąsił po wódce suchą konfiturę i dopiéro zapytał nie ruszając się z miejsca:

— Czemuż mam przypisać przyjemność — i nie dokończył bo znowu coś do swego smaku upatrzył na tacy i do ust włożył.

Tymczasem Wiktor z zdumieniem przypatrywał się temu człowiekowi i zbytkowi, jaki go otaczał. Ściany pokoju obite były dywanami, na posadzce przed każdym sprzętem leżały skóry tygrysie chroniące nogi pańskie od zimna jesiennego. W jednym kącie stała fajczarnia, w drugim gotowalnia pełna fraszek srebrnych i złotych, jakby dla pięknej kobiéty przygotowana; ogromne zwierciadło stało między oknami; jednêm słowem wszystko tam było co zdobić lub bawić oko może, prócz książek, kwiatów i obrazów.

Nie czekając dalszego zapytywania, Wiktor usiadł na skinienie pana Szczepana.

— Nie wątpię że wiadome są panu nieszczęścia, jakie przeszliśmy.

— A tak, słyszałem, mieliście mało, straciliście wiele, więc trochę mniéj jak nic wam się zostało; nu to cóż z tego?

I pan Szczepan napił się znowu kieliszek parfait-amour i wziął się do szynki, polewając ją oliwą z zajęciem i znajomością rzeczy smakoszów.

— Mieliśmy wiele, odpowiedział Wiktor, bo przy pracy i zgadzaniu się z jéj położeniem mojéj żony, byliśmy zupełnie szczęśliwi; nadzwyczajne wypadki, przez które utraciliśmy cały nasz dobytek, przerwały na chwilę to szczęście; dla tego przychodzę do pana jako do Wuja méj żony, nie żebrać ale prosić abyś mi dał u siebie sposób pracowania; przyjmę jakikolwiek obowiązek, zrób mię pan leśniczym lub ekonomem jak pan nim robisz każdego, który ma za sobą świadectwa. Mojém świadectwem w oczach pana powinno być to, że jego siostrzenica wkrótce głód cierpieć będzie, a od dawna już jest w nędzy wraz z dzieckiem; ja chcę pracować dla niéj i wszelkich usiłowań dołożę, aby być panu użytecznym, byle tylko nie widzieć nędzy dwóch niewinnych istot, które mi są droższe jak wszystko na świecie!

Domawiając tych słów, Wiktor czuł że głos jego słabnął, bo wykrywał najświętsze uczucia swéj duszy przed żarłocznym głazem, który dojadłszy powoli śniadania, powstał ociężale, zapalił fajkę i rozłożywszy się na sofie, po długiéj chwili milczenia, wykłówszy zęby odpowiedział:

— Ja tu żadnego nadzwyczajnego nie widzę wypadku w tém wszystkiém, oprócz tego że moja siostrzenica poszła za pana, który nie miałeś majątku; myślałem że umiesz przynajmniéj gospodarować, ale się zawiodłem, straciliście sposób do życia przez własną swoją winę i niekalkulacyą; to krótki rachunek i tego się spodziewać wypadało! Co się zaś tyczy obowiązku u mnie, mój panie, na to trzeba mieć trochę lepszą głowę niż twoja; tu wszystko musi być jak w zégarku, w którym gdybym jedno złe umieścił kółko, cały porządek w niweczby poszedł. Ja z téj sofki przez to okno naprzeciw pracuję nad doglądaniem tego porządku, bo system to mój żywioł! Ale cóż to u licha za fura przy bramie?

— To wóz którym przyjechałem.

— A to jeździsz jeszcze, ja sądziłem po butach że spacerkiem. Fe, patrzaj jakeś posadzkę zwalał, zadzwoń proszę cię na Antona, tylko idź po suknie bo cały pokój zabłocisz.

Wiktor porwał się z miejsca z wściekłością, bo już miara jego cierpliwości była wyczerpana.

— O nie lękaj się pan, więcéj tu błota zastałem niż go przyniosłem.

I wyszedł z pokoju jak szalony; we drzwiach utknął na strzelcu, który przez dziurkę od klucza patrzał — a widząc go biegnącego prawie, obrócił się za nim powoli i powiedział do siebie: psy go zjedzą na dziedzińcu! a sam poszedł wytrzeć posadzkę.

(Dalsz[y ciąg] nastąpi.)

WSPÓŁCZESNA LITERATURA ANGIELSKA.

Longfellow.

Któż dziś odważy się zaprzeczyć, że w sprawie wszechpostępu ludzkości każde plemię ma zaszczyt być samém sobą; że pod bezwzględnością prawdy i powszechnego piękna, każdy naród musi zachować familijne rysy we wszelkich objawach życia, nie wyłączając sztuki, a nawet i filozofii. To święte piętno, nie wyrobione, lecz wrodzone, ta idealna fizyonomia narodowości jest istotném prawem bożém, zpod którego również niepodobna wyłamać się, jak zpod praw wyłącznych pewnym miejscom, klimatom i organizacyi fizycznéj. To, co geniusz zuchwały nazywa samodzielnością, jakoby wbrew owym odwiecznym prawom ducha miejscowego, jest właśnie samodzielnością, w imię tego ducha miejscowego; jest poczuciem i uznaniem jednego z tych wielkich przeznaczeń, które Bóg rozdał między rodziny człowieczeństwa. Dla pospolitego oka widoczną jest tylko różnica cery i rysów w plemieniu kaukazkiém, malajskiém i t. p.; lecz pochwycenie typu plemienia, abstrakcya rysów i budowy organizmu, jest już zadaniem badacza. Nierównie trudniejszém jest, iż się tak wyrażę, odróżnienie cery rasowéj i rysów w utworach umysłu, fantazyi, czucia, filozofii, sztuki, religii. Ale te indywidualne

cechy istnieją niewątpliwie, choć mniéj dotykalnie. „Cała Grecya jest pełną Homera“, mówi Ampère. Poznajemy Indyą w jéj poematach olbrzymich, w jéj hymnach panteistycznych; Oceanią w jéj krwawych legendach; Arabią w płomieniach jéj pieśni przyćmionych tęsknotą; Persyą w uroczystym spokoju jéj epos; Grecyą w jéj naiwném spoufaleniu z Olimpem. Takie zdanie o narodach wyrzeka się śmiało, stanowczo: bo same te narody już siebie wyraziły.

Lecz niełatwo coś wyrzec o plemionach, które istnieją w całéj jeszcze świeżości życia, pracy i postępu, które jeszcze siebie wyrażają. Zwłaszcza jeżeli wśród natłoku zaledwie utwory wyminąć się mogą.

Wielostronność samego postępu, zdumiewająca przewaga pewnych ogólnych dążeń, a ztąd mimowolne naśladownictwo, starły były na długo znamię rodowe z literatury angielskiéj. Między Szekspirem a Byronem ciągną się właśnie owe długie lata bezbarwności, w których pismiennictwo angielskie różni się niemal tylko językiem od francuzkiego i klasycznego. Materyalna doskonałość życia, apoteoza bytu publicznego, wielka karta, bil przywilejów: były to sprężyny silne, lecz wyłącznością swoją przeważnie ujęły miejsca reszcie żywiołów.

Mimo różnorodności i liczby utworów w literaturze pięknéj, dostrzedz jednak można, przedewszystkiém zaś w poezyi, jeżeli nie dążność określoną, przynajmniéj zwrot ku pewnéj stronie. Rzekłbym, iż to jest zwrot w kierunku przedmiotowym: kierunek to nam znany, bo i wokoło nas od pewnego czasu dający się wskazać. Nie nazwiemy go wypadkiem naśladownictwa, gdyż przychodzą nam na pamięć wielkie imiona współczesne; ale wypadkiem jakiegoś wyższego, ogólniejszego ciążenia umysłów do ducha czasu. Jeżeli dotąd duch był bohaterem poezyi, z kolei wypadki winne być podniesione do godności ducha, tak jednak, iż on wyzierać będzie zpoza zdarzeń. Na czele nowéj szkoły stoją uczniowie Shelleya: Arnold, Smith i Yendys.

Ci trzéj poeci z amerykańskim wieszczem Longfellów stanowią głośną reakcyą przeciw tak zwanemu befend beeryzmowi [1]). Longfellow należy do przeciwników szkoły ujemnéj w nowym świecie, która na czele Emersona liczy wielu stronników. Nietyle samorodność, która w przekładzie mogła wiele utracić, jak raczéj dziwne pokrewieństwo z nowoczesnym typem naszéj poezyi, spowodowało nas do zajęcia się nim bliżéj, w nadziei, że czytelnikowi przyjdzie na myśl imię, którego nie wymówiliśmy. Powieść, a przedewszystkiém powieść romantyczna jest jego polem. Nazywając pióro Longfellow'a romantyczném, nie nadużyliśmy wyrazu. Pokazuje on zerwanie z tą powagą, jaką dotąd szczyciły się za oceanem prawidła gustu europejskiego; powrót do siebie, do swoich gór, do swojéj Missisipi, po któréj Ren mógłby śmiało przepłynąć jak prąd mało widoczny.

Nie mając szczęścia, raczéj nie mając przeznaczenia być synem starego lądu, to jest téj tradycyjnéj Europy, gdzie na tle mytów już narosło kilkanaście pokładów historycznych: Longfellow poczuł potrzebę i możliwość wyszukania przeszłości w swojéj dziwnéj ojczyźnie bez wczoraj. Wynalazł ją rzeczywiście pod warstwą anglo-saksońskiéj rasy, w owém niedogasłém plemieniu Indyan, z którego ubywaniem i śmiercią zmierza do grobu reszta przedwiecznéj cywilizacyi Azteków. Podnosząc ów święty typ z jego łoża śmierci, gotując mu żywot wieczny na karcie poezyi, w chwili gdy on kończy byt ziemski, jakże głęboką daje naukę Longfellow; jak nakazujący dowód, że wszędzie jest przeszłość, że każda góra jest dawniejszą od piramid, każda rzeka dawniejszą od Iliady; że pod wszelką szerokością spotkać się można

[1]) Aby nie zostać dłużnemi, tłumaczymy z przymusem tytuł téj dziwnéj, prawie cynicznéj szkoły materyalistów praktycznych. Znaczy on: szkołę piwa i pieczeni.

z poetycznemi grobami ubiegłych wieków, gdzie władza natrętnéj prawdy historycznéj ustaje, a poczyna się natchnienie! Longfellow, jak powiedzieliśmy, jest głównie poetą powieściowym. Zdarzenia, które opowiada, opiérają się na podaniach czerwonego plemienia. Poemat, który mamy w téj chwili pod ręką, ma nazwę: Hiawata, od swego bohatera. Hiawata sławny w legendach Indyan amerykańskich, uosabia nam jeden z tych wielkich charakterów, jakieśmy poznali w Siawuszu perskim, Witoldzie litewskim, a które leżą w tajemniczym okresie przesilenia pomiędzy nocą mytu, a porankiem piérwszych dziejów. Hiawata, którego kolebkę osłania cudowność, jest mistrzem dla Indyan: wprowadza do nich byt familijny, rolnictwo, pismo, godzi i jednoczy walczące z sobą szczepy, przepowiada przyszłość, napływ obcego plemienia z za oceanu, walkę niezgody i smutny ich koniec.

Śpiew Hiawata napisany jest wierszem miarowym, rzadko rymowanym. Niewątpliwe jest, iż poeta mając powieść na tle ludowém, przedstawił nam swoje kształty z poetyczną prawdą, to jest, że w jego bohaterach, siedzących wśród lasu na progu chaty (wigwamu), robiących strzały, puszczających kłęby dymu z ust wśród dumań o dawnych czasach, poznajemy dogorywającą patryarchalność Azteków, w koniecznéj dla sztuki perspektywie.

W następującym wyjątku Hiawata puszcza się w obcą ziemię, do kraju Dakotach, z którym niedawno jego ziomkowie krwawy bój toczyli. Stary jego opiekun Nokomis, odwodzi go od wędrówki; lecz na próżno, bo serce Hiawaty tęskni do obcéj ziemi.

PIEŚŃ O HIAWACIE *(wyjątek)* [1].

„Czém łukowi własna strona,
Tém mężowi własna żona:
Niby wiążę, a związana,
Niby rządzi a poddana:
Jedno marne bez drugiego.
Tak młodzieniec, Hiawata
Mówi, marzy z samym z sobą;
Mnogie myśli głowę trudzą,
Mnogie czucia w sercu budzą
Łez, pokoju, wiary, strachu,
A i dumy co ulata
Do nieznanéj Minnehaa,
Gdzieś daleko w Dakotahu.
Lecz Nokomis mu powiada:
Hiawato! moja rada,
Pojmij żonę z twego rodu,
Nie ze wschodu, nie z zachodu,
Nam nieznaną, niesłychaną.
Swojska żona choć pokorna
Ma blask ognia, ma blask słońca;
Ale obca, najpiękniejsza,
Tylko gwiazdy lub miesiąca.
Nokomisa taka rada.
Hiawata odpowiada:
Piękny, piękny ognia płomień,
Piękny, piękny słońca promień,
Lecz piękniejsze światło gwiazdy,
Lecz piękniejszy blask miesiąca.

Na przysionku od wigwamu [1]).
Siedział starzec strzało-dzieja,
W kraju plemion Dakotahu,
Robił ostrze strzał z jaspisu,
Robił ostrza z chalcedonu.
Tuż przy ojcu, śliczna, śliczna
Siedzi córka Minnehaa,
Siedzi córka Zródło-śmiechu,
Z prętów głogu las uplata:
Myśli ojca w przeszłość idą.
Myśli córki w przyszłość lecą.
Ojciec duma o dniach owych
Niepowrotnych, gdy te strzały,
Łanię, żubra biły w kniei,
Na rozłogach Muskodei;
Dzikie gęsi zabijały
Gdy leciały na południe
Skrzydły swemi głośne Wawa.
Gdy mężowie przyjeżdżali
I te strzały kupowali:

---

[1]) The Song of Hiawatha, wydane u Bogue 1855.

[1]) Chaty.

Walczyć bez nich nie umieli.
Już ich nie ma! jak bywali
Na téj ziemi męże śmieli;
Dziś kobiétom równi męże,
Język maja za oręże.

Córka duma o myśliwym
Z obcéj ziemi i plemienia:
Młodym, smętnym i rośliwym.
Co tu kiedyś rankiem wiosny
Przybył kupić ojca strzały.
Długo, w chacie siedział z niemi,
Potém tęskny, tęskny jechał
Wciąż oglądał się na chatę,
Odjeżdżając do swéj ziemi.
Nieraz ojciec chwalił jego
Mezkie serce, mądrą głowę.
Czy téż kiedy przyjdzie jeszcze
Po te strzały; czy téż kiedy
Zwiedzi chatkę Minnehay?
I na matę położyła
Dłoń bezczynną, znów marzyła.

Wśród dumań słuchają, słyszą,
Szelest liści grał pod ciszą,
Aż tu z ogniem na spojźrzeniu,
Z sierścią zwierza na ramieniu,
Z głębi lasu niespodziany
Hiawata ich nawiedza.
Wnet strzałodziéj pochylony
W pół skończony łuk odkłada
I pod strzechę gościa prosi.
A gdy prosi, tak przemawia,
Rad oczami, rad ustami:
„Witaj, witaj Hiawato!“

U stóp pięknéj Minnehay
Gość, podróżny ciężar składa,
Zrzuca z ramion płaszcz jeleni;
A już dawno, gdy szedł z sieni,
Minnehaa siedząc zdala
Nad niedorobioną matą,
Spoglądała, pozdrawiała,
I oczami i ustami:
„Witaj, witaj Hiawato!“
Duży wigwam Indyanina
Z skór jelenich, w głębi biały
Malowany, a przy ścianach
Dakotahów bogi stały;
Drzwi wysokie miała chata,
Lecz gdy wchodził Hiawata
Ledwie zmieścił szczytną głowę,
I na głowie orle pióra.
Tedy wstając Źródło-śmiechu,
Najpiękniejsza Minnehaa
W pół zrobioną matę składa;
Stół zastawia bożym darem,
W czarach z gliny pokarm dała,
Wody z źródła zaczerpała,
Kubeł z kory był puharem.
A i gościa słówka śledzi
I ojcowskie odpowiedzi:
Lecz ust swoich nie otwiera,
Razu słowa nie wyrzekła.
Niby śpiąca, nadsłuchuje,
Jak rozprawia Hiawata
O staruszku Nohomisie,
Co go żywił w ranne lata,
Jak o swoich towarzyszach
Dzielnych grajkach Chibiados,
O Kwazyndzie arcy-mężnym,
O bujności i pełności
Ziemi szczęścia i pokoju,
Cnego kraju Ożybwais.
Gdzie po wielu latach boju,
Szczęku broni, krwi strumieniu:
Wreszcie pokój padł w plemieniu
Ożybwais i Dakotach.
I tak jeszcze mówił daléj,
Ale skromniéj nieprzytomniéj:
„By już mogły być ostatnie,
Boje plemion, wiecznie cisza,
Nasze serca wiecznie bratnie,
Nasze ręce zawsze spojne;
Niech twa córka będzie moją,
Źródło-śmiechu Minnehaha
Najpiękniejsza w Dakotahu.“

Dobrą chwilę był w milczeniu,
Nim odrzeknął Strzałodzieja;
Dym wypuszczał z ust a milczał,
Dumnie patrzył na Hiawatę,
Słodko patrzył na swe dziécię.
Wreszcie rzekł statecznym głosem:
„Jéj spytajmy, co téż powie
Minnehaa i jéj serce?“

A ta miła gdy tam stała,
Jeszcze milszą się zdawała,
Ni się skłania, ni się wzbrania.
Wreszcie zmierza ku gościówi,
Siadła przy nim i mówiła,
Lecz się twarz jéj rumieniła:
„Mój małżonku pójdę z tobą.“
Tak to kochał Hiawata.
Tak starego wyrobnika
Pojął córkę Minnehaę,
Z cudzéj ziemi Dakotahu.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*